

# **Vercueil, jego pies, żona i muzyka świata.**

Grażyna Borkowska

## Grażyna BORKOWSKA

### Vercueil, jego pies, żona i muzyka świata

Zaproszona – chciałabym opowiedzieć Państwu nie o teorii (literatury), której się nie dopracowałam, i nie o zasadach (czytania), których nie mam, ale (tylko) o wrażeniach z lektury. Chodzi o książkę Johna Maxwella Coetzee’ego *Wiek żelaza*<sup>1</sup>, przetłumaczoną przez Annę Mysłowską. Mówi się tam o kobiecie, która – stara i chora – szuka bliskości z ludźmi. I znajduje tę formę upragnionej więzi w osobie dzikiego, prymitywnego włóczęgi, Vercueila, wiecznie cuchnącego wódką i brudem. Długo myślałam, że mogłaby to być opowieść o mojej matce. I że dlatego tak mnie zajmuje. Ale później się zorientowałam, że powód mojego poruszenia jest inny: to mogłaby być opowieść o mnie. Lustrzane odbicie, skierowane akurat ku temu, kto czyta, jest jednym z zadziwiających *handicapów* interpretacyjnych tego dzieła. Myślisz, że czytasz o kimś innym, i nagle nabierasz pewności, że czytasz o sobie: tak, jestem córką i matką. Przełom wieku dojrzałego polega właśnie na tym, i na niczym innym: być jednym i drugim. I to nie tylko w tym sensie, że wchodzisz w rolę opiekunki własnych rodziców (pisałam o tym kiedyś), ale że zajmujesz ich miejsce – i wobec obowiązku życia, i wobec obowiązku śmierci. Godzisz się na opisane koleje losu, sądząc, że nie dotyczą ciebie – teraz, i spostrzegasz nagle, iż autor/narrator (jakie to ma znaczenie?) mówi właśnie o tobie. Miętko wchodzisz w cudzy dramat, by potem boleśnie przekonać się, że grasz w tym przedstawieniu główną rolę. Trochę to jest jak pułapka, a trochę jak wybawienie, kres, dobrnięcie, wyjawienie, finał.

Ten porządek jest okrutny, ale szybko nabierasz pewności, że nie to jest najgorsze:

---

<sup>1</sup> J.M. Coetzee *Wiek żelaza*, przeł. A. Mysłowska, Znak, Kraków 2004. Cytaty lokalizuję w tekście.

## **Borkowska** Vercueil, jego pies, żona i muzyka świata

Ciągle myślę o tym, co powiedziałaś mi któregoś dnia, że już nie ma matek i ojców. Nie mogę uwierzyć, żebyś to mówiła poważnie. Dzieci nie mogą dorastać, nie mając matek czy ojców. Palenie i zabijanie, o których się słyszy, szokująca bezdusność, nawet ta sprawa pobicia Vercueila – w końcu przez kogo jest zawiniona? Oczywiście, że odpowiedzialność spada na rodziców, którzy mówią: idź i rób, co chcesz, jesteś panem samego siebie, moja władza nad tobą się skończyła. Które dziecko tak naprawdę chce, żeby mu to powiedziano? Nie ma wątpliwości, że odwróci się zmieszane, myśląc, w duchu: nie mam teraz matki, nie mam ojca, więc niech mama umrze, niech umrze ojciec. Umywasz ręce, odcinasz się od nich, więc stają się dziećmi śmierci. (s. 52)

Ta beznadziejna pustka, kiedy nie ma już ojców i matek. I ta beznadziejna pustka, kiedy nie ma już dzieci. Kiedy stajemy sami wobec ostatecznych wyroków losu: starości, choroby i śmierci. Cóż nam zostaje:

Kilka nocy z rzędu czytam *Kupca weneckiego*. Czy ja nie jem, nie śpię, nie oddycham, tak samo, jak ty – woła Żyd Shylock. Czy nie wykrwawiam się tak samo jak ty? – krzyczy, wymachując sztyletem wbitym w funt ociekającego krwią mięsa. „Czy nie krwawię tak samo, jak ty” to są słowa, które wykrzyknie na scenie Żyd z długą brodą i jarmułką na głowie w dzikim tańcu wywołanym napadem szału. (s. 43)

Właśnie: coż nam zostaje? Porównanie z losem innych, dokonane w różnych rejestrach szczęścia, biedy i niepowodzenia; empatia: cieszę się jak on, cierpię jak on. Jestem jak tamten. Albo nawet czasami zdziwienie – cierpię bardziej niż inni: „Pomyślałam, że kiedyś miałam wszystko. Teraz ty masz wszystko, ja nie mam nic” (s. 43). Zamiana ról albo zwięzła ocena powodzenia życiowego, wykonana poza odniesieniami do statusu społecznego: on jest szczęśliwym clochardem, a ja cierpiącą bogaczką.

*Wiek żelaza* to książka o utraconej niewinności. I próbie jej odzyskania. Myślę, że taka właśnie jest funkcja literatury: odnawianie więzi ze światem. To odnawianie może dokonać się właściwie w jeden sposób – przez zaświadczenie, że nie ma absolutnej odrębności, że podstawą ludzkiego świata jest wspólnota egzystencjalnych gestów i zachowań: „czy ja nie jem, nie śpię, nie oddycham tak samo, jak ty”, „czy nie krwawię tak samo, jak ty”. Tak bardzo dowartościowano w ostatnich latach kategorię i n n o ś c i, zapominając, że więzi podstawowe wymagają od nas odwoływania się do t e g o s a m e g o. Do kilku nieredukowalnych potrzeb: wody, jedzenia, powietrza. Wśród tych potrzeb jest też potrzeba zapełnienia pustki obecnością innego człowieka, czasami nawet godzimy się na obecność po prostu innej istoty. Bohaterka *Wieku żelaza* prosi swego towarzysza, by pozwolił jej spać z jego psem. A ponieważ pies śpi tylko u boku swego pana, kładą się w trójkę: „Śpimy na jednym łóżku, jedno przy drugim, jak kartka złożona na pół, jak zwinięta para skrzydeł, stara partnerska para, połączona węzłem małżeńskim” (s. 202). I dalej – w formie bezpośredniego zwrotu do córki: „Twoja matka pisze do ciebie, leżąc u boku swego pseudomeża. Wybacz, jeżeli ten obrazek cię razi. Trzeba kochać to, co jest nam najbliższe. To, czego można dotknąć ręką. Tak kochają psy” (s. 203).

Tak, literatura to dla mnie obszar t e g o s a m e g o. Ulegam słowom, które mają dla mnie raczej wartość rozpoznania niż olśnienia. Nie chodzi zresztą zawsze

## Wyznania

o potwierdzenie uczucia solidarności i braterstwa, o wzniosłe doznanie więzi z bliźnim, czasem rzecz dotyczy po prostu wyławiania z przestrzeni świata (i z przestrzeni słów) ździebełek trawy, które pochodzą z mojego ogródka. O potwierdzenie doniosłości chwil i doznań, które poprzez swoją urodę, powtarzalność lub natrętność, zapisały się w mojej pamięci. Ale zapisały się słabo i niejasno, jako tło, rytm, ornament, wrażenie. I ktoś inny, zadając sobie trud nazywania, wydobywa je ze stanu niejawnego istnienia. Nadaje im kształt, byt, formę. Przywraca rzeczywistości, urealnia, wzmacniając również moje własne istnienie, sytuując je w głównym nurcie życia.

Mam w pamięci kilka takich asocjacji, których istnienie potwierdziła literatura, umacniając moje własne poczucie faktyczności. Na przykład: rytm miasta, jedyny w swoim rodzaju układ dźwięków, płynących gdzieś z dali, tylko w letni ciepły jasny poranek: pisk tramwajów, dochodzący może z Puławskiej, ruch uliczny, jakiś młot odzywający się z oddalonego miejsca. W Szczecinie w takie radosne dni słyszałam wyraźnie odgłosy stoczni i portu. Dźwięk zawsze płynął górą, niósł się w przestworzach dość rytmicznie. Czułam się wtedy lekko, byłam częścią jakiejś większej całości, należałam do świata, a świat należał do mnie. Ucieszyło mnie, choć może mogłoby i zmartwić, kiedy zorientowałam się, że stan pobudzenia muzyką miasta był udziałem innych, np. Przybosa, Miłosza.

Inny obraz, inne doznanie: znów pejzaż, ale raczej naturalny niż miejski. Ulotna chwila, mgnienie oka, jakiś układ światła, perspektywa widziana jak na dobrze wykadrowanym zdjęciu: aleja, park, polana. Najlepiej wczesna jesień: wrzesień, w Polsce, z jedynym w swoim rodzaju natężeniem blasku promieni, lekką mgiełką, która jednak nie zaciera kształtów. Albo wariant wcześniejszy, czerwcowy, z popołudniowym światłem, kiedy przedmioty są jasno wyodrębnione, wyraźne, prawie wypukłe. I towarzysząca temu widokowi świadomość doskonałej harmonii, zgody z czasem i miejscem, przyległości, ufności, spełnienia. Wielkie *déjà vu*. To m ó j ś w i a t, odnajduję się w nim, współodczuwam, kwitnę jak najpiękniejszy kwiat, trwam jak najsolidniejsze drzewo. Tu lista autorów współodczuwających byłaby długa: Goethe, Iwaszkiewicz, a nawet Orzeszkowa w scenach otwarcia w *Nad Niemnem*.

Jaką uprawiać historię i teorię literatury? pytacie jeszcze Państwo. Każdą, która pozwoli odnieść się do owej więzi z życiem, która pozwoli zakorzenić n a s z ś w i a t w wielkim świecie, która zostawi przejście między jednym a drugim. Która nie zamyka nas w – oddalonym od doświadczenia codziennego – metafęzyku. Która nas zanadto nie uskrzydla, nie odrywa od ziemi i od współodpowiedzialności za tworzone słowa. Która nie odcina nam drogi do wspólnoty, do bycia z innymi:

Potrzebna mi jest jego obecność, dobre samopoczucie, jakie mi ona daje, jego pomoc, ale on także potrzebuje pomocy. Takiej, jaką tylko kobieta może dać mężczyźnie. Nie uwodzenie, a wtajemniczenie. On nie umie kochać. Nie mówię o przeżyciach duchowych, ale o czymś prostszym. Nie wie, jak kochać, niczym mały chłopak. Nie wie, co robić z zamkiem błyskawicznym, guzikami czy zatraskami. Nie wie, gdzie czego szukać. Nie wie, jak robić to, co ma do zrobienia.

## **Borkowska** Vercueil, jego pies, żona i muzyka świata

Im bardziej zbliżamy się do końca, tym bardziej jest oddany. Ale ciągle muszę prowadzić jego rękę. (s. 210)

Bohaterka Coetzee'ego oglądała z mieszanymi uczuciami zdjęcie swoich wnuków. Mieszkali na innym kontynencie, nie czuła z nimi więzi. Na fotografii z wakacji pływali kajakiem ubrani w świecące pomarańczowe kamizelki ratunkowe. To oddzielenie od prawdziwego życia, zabezpieczenie przed ewentualnym wypadkiem i śmiercią, nazwała bohaterka przemianowaniem. Refleksja o literaturze nie może być zrobiona z takiego samego jaskrawego materiału: szorstkiego w dotyku, sztywnego, nadmuchanego i obcego naturze ludzkiej. Nie może być „przemianowaniem” świata i życia. Musi odpowiadać jego istocie i wyrażać osobiste ryzyko: nasze emocje i odpowiedzialność. Musi być trochę nieszczelna i dziurawa. Aby od czasu do czasu mogła napłynąć otworami odrobina wody, która nas otrzeźwi.

## Abstract

**Grażyna BORKOWSKA**  
**Institute of Literary Research, Polish Academy of Sciences (Warszawa)**

### **Vercueil, His Dog, His Wife, and the World's Music**

*A reply to the questionnaire on the occasion of the 20th anniversary of Teksty Drugie: my personal views on literature, literary studies and other issues of consequence.*

Literature as the realm of 'the same', or, a narrative not about a (literary) theory, and not about principles (of reading), but (merely) about the impressions one takes away from a reading, i.e. ceding to words whose value lies in their recognizability rather than their revelatory powers.